

ANDRZEJ KWIATEK

Dziadek do orzechów

(Listy Apacza – 1967 r.)

Niektórzy mówią, że stary Mateusz służył w kawalerii, a w czasie wielkiego kryzysu handlował końmi i z Cyganami włóczył się parę lat. Mówią, że prawie całą wojnę w obozie przesiedział, ale w czterdziestym piątym czołg faszystowski spalił butelką benzyny. Są tacy, którzy twierdzą, że sołtysiem był po wojnie i że ci z lasu postzelili go w nogę, inni znowu – że to on postzelili sołtysa w czasach, kiedy umęczona Europa z nadzieją spoglądała w przyszłość. O tym „spojrzeniu z nadzieją” mawiał Maniusz-komornik, zblazowany pijaczyna bez zarostu, który był przed laty w seminarium duchownym. Nad Mateuszem mieszka. Na piętrze. Księdzem chciał zostać.

„Co znaczy – chciał? Co znaczy – chciał?” – burza się Maniusz. Dostaje wypieków na i tak już przekrwionych policzkach, resztki jajka na twar-do lub innej zakąski wysuwają się z jego mięsistych warg i wpadają do szklanki z wódką. „Kto kiedyś mógł chcieć? Posłali człowieka do seminarium i tyle. Zmęczyło mnie zapinanie guzików. Na melioracjach wolałem odpoczywać w sitowiu i strugać waźniaka jako komornik. Szczęśliwy byłem. Nawet dumny z siebie byłem, że się tak wyrażę. Mawiałem do siebie: Marian, dobrze zrobiłeś. Czekała cię skromna reprezentacja reakcyjnego zmierzchu i nic więcej. Okazało się jednak, że się myliłem. Widziałeś pan, jak ten blondas z zadartą sutanną piłkę z dziećmi kopie? Nie doceniałem potęgi Kościola, że się tak wyrażę. Aggionamento, rozumie pan?”

Wiele lat nie było starego Mateusza. Podobno siedzi, mówiono, albo na Zachód wyjechał, bo przecież jego siostra za Zimmermana wyszła. Ten Zimmerman pochodził z Alzacji. Podobno taki szmat drogi, aż strach pomyśleć, mawia Bzikański, stróż półtatarowy księżęcego zamku. Sąsiad Mateusza. Na parterze mieszka.

Tak naprawdę niewiele zna Mateusza, zaś dla tych, którzy go znają, nie jest żadną rewelacją. Ot zwykły chłop, jakich wielu. Gdzieś był, coś robił, wrócił, zestarzał się jak inni i żyje jak inni. Czapkę przed kościołem zdejmie, albo nie zdejmie.

O, stoi właśnie w otwartym oknie i wpatruje się w apetyczną Rybakową, wieszającą bieliznę na podwórku. Przepocony różowy stanik pęknie zaraz pod naporem jędrnych piersi. Daleko im jeszcze do spływania po brzuchu. Lepiej zamknij, stary, okno, bo wąsy zaślinisz i baba cię kopyścią zdzieli.

- Zamknij okno, bo muchy lecą! Miałeś przynieść wodę, a wylegujesz się do południa!

Mateuszowa postawiła wiadro z wodą na szerokim stołku koło kuchni. Haftowane gołębki fruwały nad wiadrem i haftowane słoneczko świeci. Pod nimi napis: „Świeża woda zdrowia dodaje”. Obok kuchni druga makatka: „Czystość jest ozdobą domu” – bury kotek łapkę liże.

Mateusz zamknął okno bez pośpiechu. Kciuki pod gumowe szelki wsadził. Zamyślił się jakby, patrząc na gołębki. Mateuszowa wyciągnęła spod stołu mały wiklinowy koszyk i postawiła pod drzwiami.

- To Bzikańskiego żarcie – powiedziała – zanieśesz mu. Bzikańska została, bo musiała iść na pocztę. Słyszysz! Nie stój tak! Zanieś żarcie Bzikowi!

Mateusz podskoczył nagle, poklepał żonę po tyłku, szumął wąsiskami po wyschniętym kobiecym karku.

- A pójdziesz ty, stary capie!

- Wysłała, Jasia, przez te lata, nie ma za co złapać – zarechotał stary.

Ściągnęła baba szmatę z gwoźdźnia nad kuchnią.

- Idź do cholery, bo cię ścięra zdzieli.

- No, dobrze już, dobrze. Nie zaprzeczysz chyba? Kiedyś można było potrzymać, że ho, ho.

Mateuszowa zamach ścierką wzięła mierząc go wzrokiem wściekłym i jednocześnie.

- A przez kogo, dziadzie jeden?! Czternaście lat sama jak palec! Poszedłeś na zatracenie! Ręce po łokcie urobiłam jak wół! Dziecko na ludzi wyszło, a ty... wróciłeś i chłasz po kątach!

Rozbeczała się i opadła na krzesło.

- Czego chcesz? – nachmurzył się Mateusz. – drzewa narąbałem, papę na komórcę położyłem. Kieliszek od czasu do czasu to nie chłanie. Wiesz prze-

cież sama – serduszko dziwnie puka.

Wziął się pod boki, tupnął z prawej, tupnął z lewej i zanucił żonie nad uchem „Serduszko puka w rytmie czacza”.

Mateuszowa otarła łzy fartuchem.

- Bierz koszyk i wynoś się. Podłogę łogę muszę wyszorować. I wróć przed dziewiątą, bo będziesz stał pod drzwiami do rana.

Mateusz złapał koszyk, przesłał żonie całusa szerokim gestem, jakby chciał nim obdzielić wszystko: wodę w wiadrze na stołku, wyszywane gołębki i kotki na ścianie, garnki i sagan na kuchni, kredens z wycinankami za szybą, pelargonie w oknie i stolnicę pod stołem.

- Nie trzaskaj drzwiami! – usłyszał jeszcze, gdy znalazł się w mrocznej sieni pachnącej pleśnią i kartoflami. W drugim końcu sieni pojawiła się Rybakowa z pustą miską. Mateusz spojrzał pożądlawie na szerokie biodra i piersi nabrzmałe, wynurzające się ze smugi słonecznego kurzu.

- Dzień dobry, panie sąsiedzie.

Głos dzwiczny i kojący chłodny rozplął się po członkach starego; zamienił się natychmiast w rozszalałą energię szukającą ujścia gdzieś w gardle i piersi. Mateusz podkręcił wąsa, tors szeroki wyprężył i odważnie przyparł Rybakową do ściany.

- Panie Mateuszu, nie tak ostro! Żonę pan masz od czego? – syknęła kobieta, lecz się nie bronila zbyt.

- Ciszej – stary położył palec na wilgotnych wargach sąsiadki. - Nie tak głośno. Cofnął się jednocześnie o pół kroku, nasłuchując z udawaną trwo-gą.

- Córeczka jest smutna, pani jest smutna – powiedział szeptem – bida bez chłopca, a z pani jest babka paluszki lizać.

- Nie pańskie zmartwienie – odparła półgłosem Rybakowa i zastawiając się miską jak tarczą, trąc plecami o ścianę, dotarła do własnych drzwi. Otworzyła je szybko, lecz zamykała wolno. W wąskiej szparze, przez ułamek sekundy, pod ciemnym łukiem gęstej brwi, błysnęło jej kasztanowe oko.

Mateusz pochwycił ten błysk krótkotrwały. Patrzył chwilę na mosięż-



ną klamkę, potem wciągnął głęboko chłodną kartoflaną woń i z dumnie podniesioną głową wyszedł na ulicę.

Kroczył pewnie środkiem wąskiego chodnika. Minął aptekę i zakład trumniarski Stachury na rogu, przed którym stała chłopska furmanka; nawet nie spojrzał na złote litery szyldu za szybą „Wyrób trumien dziecięcych”. Skręcił w ulicę Zamkową zawałoną deskami i workami z cementem. Na drewnianym rusztowaniu, przy wysokiej ścianie klasztornej budynku, nie było nikogo. Upał. Sena, rozleniwiająca cisza. Jakiś wyliniały kundel leżący z wywieszonym ozorem w cieniu betoniarki, ze zdziwieniem śledził żwawo drepającego Mateusza. Podniósł łeb, lecz zaraz go opuścił na wyciągnięte łapy. Powoli przymknął ślepią i przez wąskie szparki wpatrywał się obojętnie w muchy łączące po wyschniętych grudkach murarskiej zaprawy.

- Kościół odnawiają – zamruczał pod nosem Mateusz. - Ciekawe jak wytrzymuje ksiądz albo zakonnik. Jezus wymyślił źle, ale zmienia – chłop jest przecież chłopem.

Jeszcze tylko kawałek, ze czterdzięci metrów klasztornej parkanu najeżonego szkłem tłuczonym i już widać most, a za nim posępną basztę księżęcego zamku. W gruncie rzeczy rzeczka płynie wolno lecz ma się wrażenie, że wartko, jak górski strumień, gdyż z trudem przeciska się pomiędzy kamieniami, ceglami, dziurawymi gankami, nocnikami, butelkami, puszkami od konserw, którymi od lat zarzucano wąską koryto. Mateusz splunął do rzeki. Podreptał w kierunku zwałów świeżej, czarnej ziemi, które otaczały szczątki zamkowych murów porośnięte topianem i kępami wysokich ostów.

Zza zwałów wyfrunęły nagle, jak brzęczące pszczoły, dziewczęce głosy:

- Marylka, idziemy na drugą stronę! Przynieście folię! Weź też moją bluzkę, leży pod krzakiem!

Mateusz przystanął nadstawiając ucha.

- Archeologia kopie na placu – rzekł do siebie. - Młode baby. Bzikański ma się na co gapić przez cały dzień.

Przystawił dłoń do czoła i spojrzał do góry, na wierzchołek baszty.

- Taki ksiądz miał w zamku dobrze – pomrukiwał – barszkował z królową na skórach do woli, tylko żarcie mu donosili.

Ruszył przed siebie, ocierając rękawem spocone czoło. Grzęznąąc po ko-

stki w miękkiej ziemi, obszedł niskie, prowizoryczne ogrodzenie z desek i przystanął nad płytkim dołem. Spod jego lewego buta wysunął się wążutki języczek wyschniętego piasku i spłynął bezszelestnie na pochylone plecy dziewczyny klęczącej w dole.

- Szczęść Boże! – krzyknął Mateusz. Spod buta znów wypłynęła strużka piasku. Dziewczyna wstała, odgarnęła z policzków długie, proste włosy. Uśmiechając się przyjaźnie, podstawiła złożone dłonie pod ciekący piasek.

- Dzień dobry, może nam pan pomóc?

- Chętnie, panienko, ale upał okropny. Panienka tak się męczy – narzeczony nie będzie miał dzisiaj pociechy...

Z sąsiedniego dołu wychyliła się grzywa koloru jesiennych bukowych liści.

- Aniu, powiedz temu panu, żeby pilnował swojej żony!

Mateusz odkrzyknął:

- He, he – mojej starej już nie trzeba pilnować!

- Umarła?

Mateusz nie odpowiedział rudej. Pochylił się nad dołem.

- Pani Aniu, niech pani powie koleżance, że żyje, tylko w tych sprawach umarła. Rozumie panienka, nie?

Na policzkach dziewczyny pojawił się rumieniec. Nie odpowiedziała. Odwróciła się i zaczęła wymiatać delikatnie ziemię spomiędzy poczerńniętych żeber wystających z ziemi. Mateusz pokręcił głową.

- Aż taka nieśmiała? No, no, będzie miał chłop pociechę. Gdybym był młody, to bym panienkę wybrał. Nachylił się nad dołem jeszcze bardziej.

- A to co? Szkielety? Co tu robisz?

- Leżą.

- No tak, ale tutaj? Wiadomo dlaczego?

- Nie wiadomo jeszcze.

- Jeszcze? Figę będziecie wiedzieli. A ja wiem.

- Naprawdę?

- No jasne, niech panienka zobaczy – jeden jest mniejszy, drugi większy. Był potop szwedzki, czy jak mu tam... - Szwedzki..?

- No właśnie. Chłop z babą poszli na siano do stajni, przyszedł potop, wszystko się zawaliło, przygniotło ich i tak zostali. Mówię pani, jak amen w pacierzu. Niech pani powie kierownikowi, na pewno przyzna mi rację.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Nie podniosła też głowy, tylko pędzleek w jej dłoni zaczął zacząć poruszać szybciej i mniej ostrożnie.

Stary się wyprostował:

